

# Irena Szypowska

---

## Maria Danilewicz Zielińska-"konserwatorka przeszłości"

---

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 39, 73-92

---

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Irena Szypowska*

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA  
– „KONSERWATORKA PRZESZŁOŚCI”

O twórczości wielu artystów, tak jak i o działalności wielu ludzi zasłużonych w różnych dziedzinach, można mówić bez wspomniania o ich przodkach i o ich dzieciństwie, ale o Marii Danilewiczowej tak się mówić nie da. Ona wysłała z mlekiem matki – jak to mówiono w jej pokoleniu, albo odziedziczyła w genach – jak mówimy dzisiaj, zarówno charakter jak i zainteresowania. I nie trzeba dochodzić do tego drogą żmudnych poszukiwań, sprawa jest jasna, wielokrotnie powtarzana przez samą autorkę *Szkiców o literaturze emigracyjnej*, której zależało na tym, by pamiętać, że jest kontynuatorką dzieła swych przodków.

Maria Ludwika Markowska urodziła się 29 maja 1907 roku w Aleksandrowie Kujawskim, zwanym Pogranicznym, ponieważ leżał na styku zaboru rosyjskiego i pruskiego. Jej ojciec, Wilhelm – Podlasiak, aptekarz wykształcony w Petersburgu, był siostrzeńcem Zygmunta Glogera, etnografa i archeologa spokrewnionego z Narcyzą Żmichowską; matka – Antonina, warszawianka, była córką Wincentego Korotyńskiego, poety i dziennikarza, sekretarza Syrokomli. Był on (jak pisze w *PSB* Roman Taborski) „powszechnie uważany za jednego z najbardziej pracowitych, sumiennych i dbałych o piękno języka dziennikarzy swego pokolenia, a „Gazeta Polska” w dużej mierze jego niestrudzonej pracy zawdzięczała swój wysoki poziom”. Wszystkie te przymioty odziedziczyła wnuczka, a gdyby to o niej napisać, zastępując słowo „Gazeta” tytułem „Biblioteka Polska w Londynie” otrzymalibyśmy także zdanie prawdziwe. Spośród dziesięciorga dzieci Wincentego Korotyńskiego trzech synów, a więc wujów Marii, zajmowało się literaturą: Władysław (1866–1924) – dziennikarz, historyk, publicysta „był najwybitniejszym swego czasu znawcą historii Warszawy ze względu na erudycję, pedanterię i umiejętność rekonstrukcji rozwoju przestrzennego miasta” (pisze Stanisław Herbst w *PSB*); Bruno (1873–1948) był także dziennikarzem i kolekcjonerem warszawianów (pamiętamy jego syna Henryka – redaktora „Życia Warszawy” w la-

tach 1951–1972). Największy wpływ na Marię wywarł jednak wuj Ludwik (1860–1919). Rodzice Marii niedługo przed urodzeniem się córki przenieśli się z Warszawy do kwitnącego wówczas Aleksandrowa, gdzie założyli aptekę. W ich domu Ludwik mieszkał od 1910 roku do śmierci. Był z wykształcenia filologiem klasycznym, ale miał zainteresowania szersze. Brał udział w opracowaniu *Słownika Warszawskiego*, w redagowaniu „Wisły” – czasopisma geograficzno-etnograficznego, ogłaszał artykuły z zakresu etnografii, językoznawstwa i historii literatury. Jego pokój wypełniały ogromne ilości kartotek, stosy notatek i „gigantyczne ilości nietykalnych fiszek” – wspomina siostrzenica uczonego<sup>1</sup>.

Bogaty księgozbiór rodziców i wuja oraz zamieszkiwanie pod jednym dachem z Ludwikiem Korotyńskim sprzyjało umiejętnościom językowym i zainteresowaniom literackim Marii. Było rzeczą naturalną, że po maturze uzyskanej we Włocławku w roku 1924, rozpoczęła studia polonistyczne i romanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Jako studentka skarżyła się wprawdzie, że studia to „nuda i rozpacz”, że pozbawiają ją przyjemności spontanicznego obcowania z literaturą, po latach uznała jednak, że był to „złoty okres” uczelni. Słuchała wykładów Władysława Tatarkiewicza, Tadeusza Zielińskiego, Stefana Witwickiego. Przyznała, że dużo skorzystała z wykładów Tadeusza Kotarbińskiego, które były wprawdzie „suche i trudne” ale „wiele uwag profesora było dla mnie przewodnikiem w życiu i w pracy”<sup>2</sup>. W bliskim kontakcie była z profesorem Józefem Ujejskim, badaczem literatury okresu romantyzmu, który w 1921 roku wydał studium *Antoni Malczewski. Poeta i poemat*, i pod jego wpływem zaczęła przygotowywać pracę o podolskim poecie Tymonie Zaborowskim. Wzorem była monografia Mickiewicza pióra Juliusza Kleinera, obejmująca opis życia poety, a także zwracająca uwagę na przyrodę rodzinnych stron (co dostrzegł Marian Stępień). Za pracę magisterską dostała nagrodę Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Studium wydrukowała w 1933, a jako osoba doprowadzająca wszystko do końca, wydała w 1936 roku *Pisma zebrane* tego poety (publikacja licząca 600 stron) we własnym opracowaniu krytycznym.

Na wybranie zawodu wpłynęli znowu Korotyńscy. Matka, wysyłając córkę na studia do Warszawy, dała jej list do Gabriela Korbuta (którego ulubioną uczennicą była w okresie tajnego nauczania), polecający mu córkę do pomocy w pracach bibliograficznych, „bo ma do nich ciągotkę”<sup>3</sup>. Studentka wyławiała dla niego określone materiały z „Ruchu Literackiego” i wyraźnym druczkiem bibliotecznym sporządzała fiszki. Zapamiętała, że u Korbuta „szczyty abnegacji w życiu codziennym były połączone z niesłychaną skrupulatnością i dokładnością, z jaką traktował swoją pracę zawodową”<sup>4</sup>. Abnegacji po mistrzu nie przejęła, przeciwnie, wyróżniała się elegancją i emanowała energią.

Gdy kończyła studia, w stadium organizacji znajdowała się Biblioteka Narodowa. Polecona przez Korbuta magistrantka zgłosiła się do Stefana Dembego z prośbą o udostępnienie listów Zaborowskiego. Nieprzystępny zwykle dyrektor dowiedziawszy się, że jest siostrzenicą Ludwika Korotyńskiego, potraktował ją życzliwie, udostępnił archiwalia, a gdy skończyła studia, od razu w czerwcu 1928 roku przyjął ją do zespołu pracowników Biblioteki. W tym pierwszym warsztacie pracy odnosiła sukcesy i szybko awansowała, zdobywając coraz wyższe kwalifikacje i stanowiska.

Od 1927 roku, a więc od dwudziestego roku życia, była już żoną Ludomira Danilewicza, wtedy jeszcze studenta Politechniki Warszawskiej, a potem współwłaściciela fabryki AVA wytwarzającej maszyny cyfrowe. Danilewicz odznaczał się zainteresowaniami humanistycznymi i literackimi, co na pewno ułatwiało żonie aktywność w tej dziedzinie i – co nie jest bez znaczenia – zapewniał stabilizację na dobrym poziomie materialnym. Dzieci nie mieli. Ta sytuacja pozwalała ambitnej i uzdolnionej osobie pracować zawodowo i aktywnie uczestniczyć w życiu umysłowym Warszawy. W ciągu przedwojennego dziesięciolecia zajmowała się Maria Danilewiczowa (zawsze lojalnie nosząca nazwiska mężów), poza pracą w Bibliotece, studiami nad historią literatury. Ogłosiła kilkanaście biogramów w *Polskim Słowniku Biograficznym*, współpracowała z „Rocznikiem Wołyńskim”, redagowanym przez Jakuba Hoffmana, opublikowała w „Nauce Polskiej” studium *Życie naukowe dawnego Liceum Krzemienieckiego*, którym zainteresowała się pisząc o Zaborowskim, absolwencie tej szkoły. Jako pracownik BN zajmowała się zbiorami Muzeum Narodowego Polskiego w Raperswilu i zbiorami rewindykowanymi z Rosji Sowieckiej. Właśnie na podstawie archiwaliów szwajcarskich napisała *Szkic o życiu literackim Krzemieńca w latach 1813–1816*.

Zamierzała przedstawić dysertację na temat szkoły wołyńskiej, ale zgromadzone materiały i notatki podczas wojny zginęły w Krzemieńcu, gdzie w 1939 roku przygotowywała wystawę poświęconą Juliuszowi Słowackiemu w 130 rocznicę urodzin. „Krzemiecczanka” – jak ją nazywał profesor Stanisław Pigoń (którego poznała w 1934 roku przy okazji organizowania przez Bibliotekę Narodową wystawy Mickiewiczowskiej w stulecie *Pana Tadeusza*, i z którego rad korzystała, przygotowując dysertację) – nie byłaby sobą, gdyby jednak nie uzyskała stopnia doktorskiego na podstawie rozprawy o Liceum Wołyńskim. Osiągnęła to w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie w 1961 roku za pracę *Życie naukowe dawnego Liceum Krzemienieckiego*.

Do wybuchu wojny, mając 32 lata, osiągnęła Danilewiczowa wysoką pozycję jako bibliotekarka i jako historyk literatury o znacznym dorobku i wyraźnych zainteresowaniach skupionych na schyłku wieku XVIII i pierwszym trzydziestolecu XIX wieku. Niestety, później, od wybuchu wojny, nie mogła tych prac kontynuować: „To, że musiałam zejść z pola moich najbliższych zainteresowań, było jedną

z moich wielkich tragedii życiowych. Przez długi czas uważałam, że wszystko inne, co robię, jest tylko jakimś substytutem, jakimś zabiciem czasu, wypełnieniem lat oczekiwania na możliwość powrotu do moich właściwych zainteresowań”<sup>5</sup>.

We wrześniu 1939 roku Danilewiczowie opuścili Warszawę (mąż był związany ze sprawą „Enigmy”), dotarli do Krzemieńca, by zlikwidować wystawę Słowackiego i ukryć eksponaty, po czym przez Rumunię i Jugosławię przedostali się w listopadzie do Francji. Pani Maria ani chwili nie próżnowała. W Paryżu podjęła pracę w Biurze Poszukiwania Rodzin PCK, ale bardzo szybko nawiązała kontakt z Biblioteką Polską na Wyspie Św. Ludwika. Po zajęciu Paryża przez Niemców, od listopada 1940 do maja 1942 roku, prowadziła bibliotekę w schronisku dla uchodźców w Aix-les-Bains w Sabaudii, podległej rządowi Vichy. W tym czasie zdażyła przygotować *Antologię poezji pierwszego roku wojny* oraz dwie broszurki: *Losy bibliotek polskich* (Grenoble 1941) oraz *Dawne granice ziem polskich* (Aix-les-Bains 1942).

Potem w ciągu paromiesięcznego pobytu w Lizbonie, gdzie Danilewiczowie zatrzymali się w okrężnej, ale dobrze znanej Polakom drodze do wolnej Anglii, pracowała w Komitecie Opieki i w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji. Tam też poznała swego przyszłego drugiego męża, Adama Zielińskiego, będącego attaché prasowym polskiego poselstwa w Lizbonie.

W sierpniu 1942 roku Danilewiczowie dostali się do Londynu, gdzie Maria od razu podjęła swą – mającą trwać lat trzydzieści – służbę. Za podstawową potrzebę licznej rzeszy zdemobilizowanych żołnierzy uznała dostarczanie im polskich książek:

Nie zapomnę, jak w siąpiącym deszczu pod kamienicą przy Victoria Station czekali ludzie na otwarcie biblioteki. Chcieli jakakolwiek książkę, byle po polsku. Niemal z godziny na godzinę zaczęły powstawać przedruki słowników, wydawnictw treści religijnej, potem literatury pięknej. Wycinaliśmy nawet z czasopism powieści w odcinkach, sklejaliśmy i tworzyliśmy takie klocki, które krążyły z rąk do rąk.[...] W soboty spoza Londynu przyjeżdżali delegaci z odległych miejscowości. brali po dziesięć książek, zaczytywanych potem przez sąsiadów. Poza tym powstał Instytut Książek Wędrownych<sup>6</sup>.

Doświadczona i ambitna bibliotekarka od razu przystąpiła do gromadzenia literatury. Najpierw w biurze Funduszu Kultury Narodowej; sprowadzała tam polskie wydawnictwa drukowane na terenie Wielkiej Brytanii, głównie w Londynie, Glasgow i Edynburgu, wyszukiwała polonika w British Museum i w konsulacie polskim oraz przy ministerstwach polskiego rządu na emigracji. Tak, głównie jednak na fundamencie księgozbioru Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, powstała Biblioteka Polska w Londynie, ośrodek kultury pełniący dla rodaków zagranicą – a także dla Polaków w kraju – rolę podobną jak przed

wojną Biblioteka Narodowa. Gromadziła ona wszystkie polonika ukazujące się zagranicą i prowadziła ich rejestrację bibliograficzną, służyła uchodźcom i czytelnikom z kraju, organizowała wystawy i spotkania, patronowała wydawnictwom. To, co stworzyła Danilewiczowa – było to przekonanie powszechne – nie mogło ulec zagładzie. Mimo iż kilkakrotnie Biblioteka była bliska likwidacji, przetrwała, a jej twórczyni i dyrektorka w roku 1970 otrzymała nagrodę Fundacji Jurzykowskiego za działalność bibliograficzną i bibliotekarską, a dwa lata później prezydent August Zaleski odznaczył ją krzyżem oficerskim Polonia Restituta. Wtedy też, owdowiawszy, przeniósła się z całym warsztatem (30 skrzyń książek, notatek, wycinków) do Portugalii, do swego drugiego męża, Adama Zielińskiego. Lecz dorobek 30 lat w Londynie to nie tylko prowadzenie Biblioteki. Z myślą o polskich czytelnikach przygotowała do druku kilka klasycznych pozycji: *Nowele warszawskie* Bolesława Prusa (1946), *Wybór nowel* Marii Konopnickiej (1947), *Pisma poetyckie* Adama Mickiewicza (1956). Ponadto opracowała *Listy Johna Galsworthy'ego do Josepha Conrada* (1957) i zredagowała *Portrety pisarzy angielskich* (1962), zawierające szkice znanych krytyków o autorach w Polsce popularnych, jak G. Greene, T. S. Eliot, G. Orwell, W. H. Auden. Popularyzowała także twórczość młodych poetów: Adama Czerniawskiego, Bogdana Czaykowskiego, Bolesława Taborskiego – skupionych przy miesięczniku „Kontynenty” i utrzymujących kontakty z krajem.

Rozpraszała się, czując się potrzebna w wielu dziedzinach. Być może to, że była bibliotekarką, powodowało, iż mimo zdecydowanych poglądów niepodległościowych i antykomunistycznych, orientacje polityczne stawiała na dalszym planie, pisząc zarówno dla nieprzejednanych „Wiadomości” Grydzewskiego, jak i dla lewicowej „Nowej Polski” Słonimskiego. Uznając, że literatura polska jest generalnie jedna, interesowała się zarówno tytułami wychodzącymi na obczyźnie, jak i literaturą krajową, o obu informując w prasie i radiu. W rozgłośni „Wolna Europa” od 1953 roku prezentowała i recenzowała nowości wydawnicze. Zaliczano ją, obok Tymona Terleckiego, Stefanii Zahorskiej, Michała Chmielowca i Wita Tarnawskiego, do czołówki londyńskiej krytyki. Stale współpracowała z „Wiadomościami Polskimi”, prowadząc tam jako „Szperacz” kronikę *Szkiełko i oko* oraz cykle *Jednym tchem*, *W oczach Londynu* i *Krajowe nowości wydawnicze*. Ważniejsze artykuły zamieszczała w paryskiej „Kulturze”, a ponadto była dokumentalistką Instytutu Literackiego, autorką *Bibliografii „Kultury”*, „*Zeszytów Historycznych*” i *działalności wydawniczej w latach 1974–1980* (1981).

Danilewiczowa była poza tym członkiem komitetów redakcyjnych dwóch periodyków poświęconych historii: londyńskiej „Teki Historycznej” i rocznika „Antemurale”, będącego organem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Rzymie.

Pełniła także funkcję członka Rady Fundacji im. Kościelskich w Genewie oraz Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.

Cennym podsumowaniem jej czterdziestoletnich studiów nad polską literaturą powstała na obczyźnie są *Szkice o literaturze emigracyjnej*, pisane w Portugalii, a wydane przez paryski Instytut Literacki w Bibliotece „Kultury” w 1978 roku – na wiele lat jedyne i najważniejsze źródło wiedzy o pisarzach żyjących na uchodźstwie (*Literatura polska na obczyźnie* Tymona Terleckiego obejmowała lata 1940–1960). Właśnie o pisarzach raczej, niż o literaturze, najciekawsze są tam bowiem sylwetki autorów, kreślone swobodnie ze znajomością osób i środowisk – a właśnie tego bardzo w kraju brakowało.

Pełna działalność Danilewiczowej trudna jest do ogarnięcia. A przecież nie można pominąć przysług świadczonych bezpośrednio lub listownie pisarzom i naukowcom, czego udokumentowanym przykładem jest 500 stronicowy tom korespondencji ze Stanisławem Pigioniem przygotowany do druku przez Czesława Kłaka, *Listy K. Wierzyńskiego i M. Danilewicz z lat 1941–1969*, ogłoszone przez Pawła Kądziałę<sup>7</sup>, zespół listów wymienianych z Julianem Krzyżanowskim (przygotowywany do druku przez Barbarę Kocównę, a uprzemie mi udostępniiony), a także korespondencja z Czesławem Zgorzelskim. Korespondencja z ludźmi nauki (w całości jeszcze nieopublikowana) była ważną częścią działalności Danilewiczowej, dotyczy ona przede wszystkim kontaktów z pozostającymi w kraju historykami literatury, którzy korzystali z jej pomocy w kwerendach tak swobodnie, jakby nadal pracowała w warszawskiej, a nie londyńskiej księżnicy. Zaczęło się od tego, że w 1954 wysłała Julianowi Krzyżanowskiemu swój tekst o Mickiewiczu, a w 1958 roku Stanisławowi Pigionowi kilka wycinków z „Wiadomości” dotyczących także Mickiewicza, sądząc słusznie, że powinni je znać, czym zachęciła Krzyżanowskiego do zapytania na zupełnie inny temat: „Czy w prasie emigracyjnej (europejskiej i pozaeuropejskiej) ogłoszono jakie teksty listów Żeromskiego?”. Adresatka odpowiedziała, co zapoczątkowało korespondencję, w której profesor wielokrotnie prosił ją o dostarczanie mu różnych informacji oraz książek. Danilewiczowa kontaktowała także Pigionia z generałem Marianem Kukielem, Michałem Sokolnickim i innymi osobami.

Z czasem zaczęła pisać śmieiej o własnych znaleziskach i odkryciach np. o listach Mickiewicza znajdujących się w archiwum braci Balińskich, potem odkupionych przez Tomasza Niewodniczańskiego, a wreszcie wydanych przez nią w Warszawie w roku 1989 w tomie *Mickiewicziana w zbiorach Tomasza Niewodniczańskiego w Bittburgu*. Miała dostęp do źródeł niedostępnych dla badaczy z kraju, śledziła zwłaszcza wszystkie mickiewicziana, tłumaczyła je na język polski i recenzowała. Dokonała też interesujących i ważnych odkryć: odnalazła m.in. list Otylii Goethe do Eckermana, będący odpowiedzią na zarzut zbytnej sympatii okazywanej polskiemu

pocie, odkryła nieznaną listy Celiny Mickiewiczowej do męża z roku 1848, zajęła się korespondencją Mickiewicza z czasów lozańskich. Była dumna z tego, że przyczynki do badań nad romantyzmem przyniosły jej honorowe członkostwo Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, mającego nb. swą siedzibę w Warszawie w Pałacu Staszica, gdzie w czasach studenckich bywała w gabinecie Gabriela Korbuta.

O tym, jaki charakter miały „dialogi” z badaczami z kraju, dadzą pojęcie dwa fragmenty krótkich listów Juliana Krzyżanowskiego. Pierwszy, z 15 marca 1961: „Tymczasem mam do pani taką prośbę: Czy w zasięgu Biblioteki nie dałoby się wyjaśnić, kto w r. 1854 ogłosił w Londynie tomik *Characteristic Features of Russian and Slavic Poetry*, maskując się jako J. S. C. De Radius, en exile, a native of Volhynia?! Za wiadomość tę byłbym bardzo obowiązany. Ręce drogiej Pani całuję – J. Krzyż.”. List Profesora był króciutki, dwuzdaniowy, ale odpowiedź, datowana 22 marca, świadczy o tym, że Danilewiczowa przejęła się tą sprawą i próbując rozwiązać pseudonim pisze nie list, ale raczej artykuł zajmujący dwie bite strony. Ile czasu jej to zajęło? Co z tego wykorzystał Julian Krzyżanowski? Naturalnie nie robiła tego bez przyjemności, ale sędzę, że co najmniej na tydzień musiało ją to wytrącić z własnych spraw.

Maria Danilewicz Zielińska była bardzo zainteresowana wydaniem jej korespondencji. Sama zamierzała przygotować do druku listy prof. Pignonia z lat 1958–1968, a skoro dowiedziała się, że prof. Czesław Kłak pracuje nad pełną edycją korespondencji Pignonia z różnymi adresatami i gotów jest zacząć od jej listów, przystała na to bardzo chętnie, pomagając wydawcy i z niecierpliwością czekając na ukazanie się książki: „Wydaje mi się, że wartość listów podnosi fakt, że były wymieniane w złym okresie, ponad cenzurą i są dowodem, że nie ma przeszkód, gdy się czegoś naprawdę chce” – pisała w liście do Czesława Kłaka<sup>8</sup>. Otrzymawszy tekst wstępu czyni do niego różne uwagi, wprowadzające taką hierarchię własnych zasług, jaka w tym czasie wydawała się jej lepsza. Najważniejszą uwagą jest ta, w której prosi o uwydatnienie współpracy z „Kulturą” paryską: „W moim życiorysie naukowym prosiłabym o wprowadzenie wzmianki o bliższej współpracy z «Kulturą», z którą w latach 60. byłam bliżej niż z „Wiadomościami” związana (i jestem do dziś dnia)”. Prosi też o uwzględnienie autooceny jej własnych poczynań naukowych: „Za najważniejsze moje osiągnięcie naukowe uważam szkice o Grabiance i iluminatach awiniońskich, i o Fredericku Chamierze, jako bliskim znajomym Mickiewicza w Rosji – obie te prace ukazały się w wersjach angielskich w prestiżowych pismach Oxfordu i Londynu; wersja polska będzie przedrukowana w najbliższym roczniku Tow. Lit. im. A. Mickiewicza”<sup>9</sup>.

Inna uwaga dotyczy poziomu publicystyki: „Zarówno felietony radiowe, jak i teksty do *Szkiełka i oka*, podpisywane pseudonimem *Szperacz*, a także artykuły



w «Kulturze» musiały mieć kształt obliczony na możliwości odbioru przeciętnego czytelnika czy słuchacza – sądzę, że nie oznacza to «dyletanctwa», tylko podanie treści w formie przystępniejszej i atrakcyjniejszej. Myślę, że dobrze ujmuję mój dorobek nota biograficzna na okładce *Szkiców o literaturze emigracyjnej* w wydaniu Ossolineum z r. 1992”<sup>10</sup>.

Z rezultatów współpracy z redaktorem była zadowolona. Wyraziła podziękowanie prof. Kłakowi, a nawet stwierdziła, że ją przecenia. „Istotą rzeczy jest to, że prelegentka RWE i współpracowniczka «W» i «K», słowem «siła antysocjalistyczna» mogła porozumiewać się w «materiach kraj i naród obchodzących» ponad głowami cenzorów i to że źle widzianym profesorem, nie bojącym się ryzyka”<sup>11</sup>.

Gdy tom się ukazał, bardzo jej zależało na tym, aby „potencjalni recenzenci rzeczowi”, do których zaliczała prof. Liberę, prof. Maślankę, prof. Błońskiego i prof. Hutnikiewicza napisali o *Dialogu korespondencyjnym*<sup>12</sup>.

Henryk Elzenberg, zastanawiając się nad sytuacją „jednostki w morzu kultury” (lipiec 1925), stwierdza: „Ilościowy nadmiar produkcji kulturalnej ma ten przykry skutek, że o ogarnięciu go przez jednostkę, nawet najbardziej wykształconą, nie może być mowy. Jakże my się wobec tego faktu zachowujemy?” Są tacy, którzy „wbrew jawnej, oczywistej niemożliwości, próbują jednak nadażyć”, tacy, co chcą „wiedzieć wszystko” w obrębie wybranego działu, tacy, którym wystarcza informowanie się „z drugiej ręki”. I najlepsza postawa: „mieć w pamięci, że wszelkie nasze obcowanie z wytworami kultury ma na celu podciągnięcie, ukształtowanie, «ukulturalnienie nas samych» i pod tym kątem dobierać wszystko, z czym się będzie obcować.” Ale kończy: „z ducha najczystszej kulturofilii rodzi się jakiś czysty savonarolizm: «trzy czwarte tego wszystkiego warto by spalić»”<sup>13</sup>.

Nie sposób przypuszczać, aby Maria Danilewiczowa doszła do tak krańcowej konkluzji. Być może, „chciała nadażyć”, a także „wiedzieć wszystko” oraz „ukulturalnić samą siebie”. Sądzę jednak, że zajmowała się porządkowaniem, traktując je jako służbę kulturze narodowej konieczną w specyficznych warunkach podziału, jako ułatwianie pracy bardziej twórczym umysłom. Ogarnięta była pasją porządkowania, odczuwała zapewne wewnętrzny nakaz robienia porządku w dorobku literackim, stąd jej prace archiwalne, bibliologiczne, bibliotekarskie. Wykonała w tej dziedzinie pracę ogromną i spotykała się z uznaniem, wdzięcznością i podziwem, co ją podtrzymywało w staraniach o sprostanie oczekiwaniom środowiska, któremu służyła swą pracą. Musiało jej to dawać satysfakcję i zadowolenie. Nie myślała o własnej twórczości, ale żyła nie tylko w środowisku bibliotekarzy i archiwistów, ale i literatów, przebywających wtedy w Londynie i także korzystających z jej pomocy. To wywołało zajęcie się na kilka lat twórczością artystyczną.

Osobie tak mocno zakorzonej w tradycji kulturalnej, erudytkie od dzieciństwa żyjącej w domu wypełnionej książkami i studiami nad językiem, wcale nie łatwo było przystąpić do tworzenia własnego dzieła literackiego. Przecież wszystko już zostało napisane. I to jak! Trzeba było dopiero wyraźnego impulsu, zachęty ze strony prawdziwych zawodowych pisarzy i przeświadczenia, że się sprosta wyzwaniu.

Pytanie o to, jak została pisarką, zadał jej Włodzimierz Paźniewski<sup>14</sup>. Odpowiedziała, że stało się to podczas wojny. Bywała wtedy w domu Słonimskich, uczestnicząc w „podwieczorkach literackich”, na których nie rozmawiano o polityce, ale wspomniano „dawne dobre czasy”. Między innymi z pogawędki Karola Estreichera powstał potem szkic o modzie w Krakowie w 1912 roku, będący zaczątkiem tomu *Nie od razu Kraków zbudowano* (1945). Ona opowiedziała o swoim dzieciństwie na Kujawach. Opowiadanie *Od Tążyny*, opatrzone przez autorkę datą 27 stycznia 1943, zostało wydrukowane w „Nowej Polsce” redagowanej przez Słonimskiego, a potem, na pięć lat przed powrotem poety do kraju, w tomie *Literatura na emigracji. Antologia „Nowej Polski”*, wydanym w Łodzi w 1946 roku. (Tu ciekawostka: mój egzemplarz, kupiony w warszawskim antykwariacie, nosi pieczętkę „Biblioteka Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego m. st. Warszawy”). Napisała jeszcze kilka opowiadań kujawskich, które znalazły się w tomie *Blisko i daleko* (Londyn 1953). Został on dobrze przyjęty, podobnie jak opublikowana w „Wiadomościach” nowela *Pierwsza miłość*, co zachęciło autorkę do napisania powieści *Dom* (1956), odwołującej się do wspomnień kujawskich.

Lata pięćdziesiąte XX wieku były właśnie okresem rozkwitu na emigracji prozy wykorzystującej wspomnienia dzieciństwa. Przyczyny tego zjawiska były różne. Sama Maria Danilewiczowa analizuje je w swoich *Szkicach o literaturze emigracyjnej* w rozdziale *Wśród pamiątek i „wspominków”*:

Pamiętniki „domowe” miały przekazywać obrazy „panatadeuszowe”, ewokować utracone raje lub na chłodno inwentaryzować realia przeszłości. Ostrogą ponaglającą do pisania było uzasadnione w pełni w latach 50-tych przeświadczenie, iż w Kraju ukazywać się mogą tylko opisy sfalszowane lub niedopowiedziane, choćby tak piękne jak *Zegar słoneczny* Parandowskiego. Osobliwością tej książeczki było, że działa się w anonimowym mieście, którego dzielnicą był Łyczaków a ozdobą kaplica Boimów. Zabieg cenzury, eliminujący nazwę Lwowa, uświadamiał dobitnie konkretne niebezpieczeństwo zafalszowania przeszłości w stopniu przekraczającym najgorsze wzory praktyk cenzury carskiej.

Utrwalanie obrazów życia w poszczególnych miastach i okolicach kraju stało się przeto napisaniem nakazem<sup>15</sup>.

Z czasem wspomnienia regionalne objęły całą międzywojenną, a nawet przedrozbiorową Polskę, a także wspomnienia rodaków zasiedziały w Rosji i będących świadkami wojny i rewolucji. Warszawę przypomnieli m.in. Julian Sakowski

w *Asach i damach*, Tadeusz Wittlin w *Ostatniej Cyganerii*, Zdzisław Czernański w *Kolorowych ludziach*; Kraków – Zygmunt Nowakowski, Waclaw Zbyszewski, Ferdynand Goetel. Lwów ożył w *Moim Lwowie* Józefa Wittlina, Drohobycz – w *Wizycie w Izraelu* Andrzeja Chciuka, Huculszczyznę słaWił jej piewca Stanisław Vincenz. Wileńszczyzna i Wilno są obecne w twórczości Czesława Miłosza, zwłaszcza w powieści *Dolina Issy*. Bydgoszcz doczekała się swego portretu w *Obozie Wszystkich Świętych* Tadeusza Nowakowskiego, Radom utrwaliła Zofia Romanowiczowa w powieści *Szklana kula* (1964), Lublin jest miejscem młodzięczych przygód bohaterów *Dziejów Józefa Zakrzewskiego* – autobiograficznej powieści Józefa Łobodowskiego.

Dorastało też na emigracji pokolenie urodzone w latach trzydziestych, któremu generacja rodziców chciała przedstawić kraj i region pochodzenia. Wspomnienia rodzinne powstawały często z myślą o tym, aby dać świadectwo temu, że w kraju należało się do innej sfery, było się zakorzenionym w innym środowisku niż to, w którym się polski uchodźca znalazł na emigracji.

„Wiadomości Polskie” w numerze 25 z 1942 roku zapowiadały: „Nowość!” – tom osiemnastu opowiadań pod tytułem *Kraj lat dziecinnych*, na który złożyły się m.in. Hłakowiczówny *Wspomnienia z Inflant*, Karpińskiego z Gniezna, Zbyszewskiego z Kijowa, Jerzego Stempowskiego *W dolinie Dniestru*, Tymona Terleckiego *Z innego brzegu*.

Danilewiczowa nie zdążyła ze swoimi wspomnieniami, a może zdecydowała się debiutować jako prozaiczka dopiero pod wpływem lektury *Kraju lat dziecinnych*. Zbiór opowiadań *Blisko i daleko* wydała w Londynie w 1953 roku, umieszczając na początku *Od Tażyny*. „Sama pisałam takie obrazki z tłem kujawskim z intencją przekazania obrazu międzywojennej egzystencji” – wyznała w *Szkicach*<sup>16</sup>. Opowiadania utrzymane są w stylu gawędy, co podkreślają zwroty takie jak „ze wspomnień najdawniejszych wydobywam...”, „Miasteczko bowiem, jak się rzekło...”. W tomie tym znalazły się wspomnienia z rodzinnego Aleksandrowa i z czasów warszawskich. Autorka przywołała w nich sylwetki swych mistrzów, informując rzetelnie, ale też przedstawiając ze smakiem interesujące szczegóły. Kazimierz Wierzyński, przeczytawszy w „Wiadomościach”<sup>17</sup> opowiadanie *Wieszcz Miodoboru*, napisał do niej w liście z Sag Sabor 21 lutego 1955 roku: „Dziękuję Pani za miłe wzmianki w ślicznym opowiadaniu o Ujejskim i Zaborowskim, nikt jeszcze tak nie pisał u nas o urodzie studiów naukowych”<sup>18</sup>.

Ci, co zajmują się literaturą, co jej służą jako bibliotekarze, bibliografowie, księgarze, ci, co ją interpretują i rozpowszechniają, a także bibliofile i bibliomani, rzadko są autorami lub bohaterami utworów literackich. (Wyjątkiem jest zapomniane, a bardzo interesujące opowiadanie Konstantego Marii Górskiego *Biblioman*). Słudzy literatury cieszą się wprawdzie sympatią twórców, ale nie jest to

sympatia bezinteresowna. Są potrzebni, aby znaleźć i udostępnić poszukiwaną a niewypożyczalną zwykle pozycję i to na czas dłuższy niż regulaminowy, są nieocenieni, gdy odnajdują źródło jakiegoś cytatu, potrzebni, by wprowadzić do biogramu požądane informacje, by umieścić ich książkę na wystawie. Bibliografowie, bibliotekarze, słownikarze, wydawcy – znają pisarzy z dość częstych, krótkich spotkań, są obdarzani komplementami, czasem zabawiani anegdotkami, ale relacje między nimi nie mają charakteru partnerskiego, odbywają się raczej na zasadzie „pan każe – sługa musi” – jak to określiła sama Danilewiczowa. Niemało w tym środowisku osób wybitnie inteligentnych, odznaczających się nieprzeciętną erudycją, bardzo pracowitych i sumiennych, ale pozostają one zawsze na drugim planie, są wykorzystywane do „czarnej roboty”, jakiej zawsze jest aż nadto, nie mają przeto czasu na pracę nad własnym rozwojem. Z ich trudu korzystają inni.

*Jak wygląda bibliotekarka?* Artykuł Anety Firlej-Buzon pod tym tytułem ukazał się w „Poradniku Bibliotekarza” 2003, nr 9. Studenci i czytelnicy w odpowiedzi na ankietę określili bibliotekarkę jako szczupłą, wysoką kobietę w średnim wieku, ubraną w sweter nieokreślonego koloru i szaroburą spódnicę „Pani ta ma smutne spojrzenie, a jej postać zlewa się z tłem, czyli z przyprószonymi kurzem książkami tak, że po prostu jest przeźroczysta. Lubi porządek i jest chętna do pomocy”. Czy taką postać można uczynić bohaterką romansu?

A właśnie dwie osoby z tego kręgu, a więc ze swego środowiska, uczyniła Danilewiczowa bohaterami noweli *Pierwsza miłość*<sup>19</sup>. Pierwszą jest pracownica Biblioteki Narodowej, drugą bibliofil, ale to nie ich łączy gorące uczucie. Akcja rozgrywa się w ciągu kilku letnich tygodni, kiedy to po śmierci bibliofila, z zawodu lekarza, znanego ginekologa, bibliotekarka sporządza w jego domu spis księgozbioru i archiwaliów, zapisanych w testamencie Bibliotece Narodowej. Poznaje zasoby domowej biblioteki, salonu, a nawet gabinetu lekarskiego, ale to nie na półkach, wypełnionych pięknie oprawionymi tomami, ale w zamkniętych szafkach, w których dostrzegało się zaledwie ślady porządków, przy czym były to tylko niezbyt skuteczne „świadczenia dobrych zamiarów”, znajduje pierwodruki dzieł Słowackiego, sztambuchy „jakowejś Faustyny”, wiersze Jana Januszewskiego, który był „zgrabnym piosenkarzem” oraz innych antenatów Juliusza. Zdarzały się i niespodzianki: liczne rzewuskiana, zbiór pamiętników o Podolu oraz gruby brulion z notatkami o rodzinie Marchockich, gromadzonymi, jak się domyśla bibliotekarka, z myślą o *Polskim Słowniku Biograficznym*. Między czasopismami z zakresu położnictwa trafiały się zeszyty „Chimery” i tomiki poezji. Doktor dużo czytał: „Sporządzał cierpliwie indeksy i na karteczkach wklejanych na końcu książek pracowicie notował swoje uwagi, w przekonaniu, że przydadzą się przyszłym czytelnikom”.

Stopniowo rodzi się w bibliotekarce zainteresowanie osobą zmarłego. Przygląda się portretom: Lenz przedstawił go jako "smakosza o nalanej twarzy", na portrecie pędzla Krzyżanowskiego jest „posepny jako bohaterowie Ibsena”. Wątek osobisty wiąże się z odnalezieniem paczki listów doktora wysyłanych przed 30 laty do panny zwanej stopniowo: "panną Zofią, Zochną, Sonką, Sofietką, Kicią i Maleńką", kilku listów do przyszłego teścia, będącego jednak ojcem obecnej wdowy, a nie Zochny oraz zakonspirowany, owinięty w starą gazetę dziennik sprzed paru zaledwie miesięcy, rejestrujący przypadkowe spotkanie doktora z panią Zofią i jego głębokie rozczarowanie tym, że nie pozostała mu wierna, ale że wyszła za mąż i jest zadowolona z życia. Odtąd nic mu się już nie podoba, a Słowacki okazuje się po prostu nudny. Pierwsza miłość to nie uczucie do Słowackiego, jak przypuszcza pani doktorowa zawsze zazdrosna o poetę – ale do kobiety, co odkryła sumienna archiwistka, zdecydowana jednak złożyć wszystko w Bibliotece, bez powiadamiania wdowy o swym odkryciu.

Jakim człowiekiem był jednak doktor Matuszewski? Autorka subtelnie sugeruje, że jego bibliofilstwo (a może wszelkie kolekcjonerstwo?) zrodziło się z niespełnionej miłości, z potrzeby wypełnienia życia miłością wysublimowaną, mogącą zastąpić w pewnym stopniu odrzucone ze względów materialnych uczucie do Zofii. Ani małżeństwo z zamożną panną, ani praca, mimo że zapewniały dobrą pozycję, nie wystarczały. Prawdziwe zadowolenie znalazł w amatorskim zajmowaniu się Słowackim, w gromadzeniu pierwodruków, pisaniu przyczynków i w uznaniu, jakim cieszył się wśród zawodowych literaturoznawców i antykwariuszy. Zbierał i podkreślał wszystkie wzmianki o sobie w pracach o romantyzmie. To go cieszyło bardziej niż uznanie w kręgu medycznym. Znajdował w kolekcjonerstwie przyjemność, ale tylko dopóty, dopóki mógł myśleć o Zofii jako o kobiecie wiernej mu i nieszczęśliwej, gdy złudzenia prysły, odeszło zainteresowanie literaturą, przestał odczuwać smak życia i wkrótce zmarł, podobnie jak błędny rycerz z powieści Cervantesa, gdy go pozbawiono złudzeń.

Autorka stworzyła dwie interesujące kreacje: bibliofila i bibliotekarki. On jest indywidualnością, ona szarą myszką, ale także mającą swoje skromne satysfakcje.

Można powiedzieć, że Danilewiczowa przedstawiła w tej nowelce doświadczenia każdego prowadzącego kwerendę w domu nieżyjącego pisarza lub kolekcjonera. Każdy poznaje dom, rodzinę, a przeglądając stare papiery napotyka takie, które, często głęboko ukryte, ujawniają tajemnice życia skrywane przed bliskimi lub już im znane, ale mające z woli rodziny pozostać na zawsze tajemnicą dla obcych. Taka kwerenda ma smak emocjonującej przygody i często kończy się dylematem: opublikować znalezisko, a więc zyskać rozgłos, czy pozostawić je do własnej tylko wiadomości.

Nowela utrzymana jest w poetyce klasycznej dobrej prozy. Realistycznie, z wielką dokładnością szczegółów przedstawione jest ówczesne śródmieście Warszawy: Świętokrzyska, Warecka, Plac Napoleona, redakcja „Wiadomości” przy Złotej 8, w pobliżu sklepu Wedla i kawiarni Szwajcarskiej, Krakowskie Przedmieście. Szczególną uwagę poświęca autorka Pałacowi Potockich przy Krakowskim Przedmieściu, pamiętającemu „hołubce księcia Józefa” i bale hrabiego Guccia, który w łazience zdobnej frywolnymi freskami kąpał w szampanie swą metrese. Wspomina widok z sali „pompejańskiej” na kościół Wizytek. W roku 1934, w którym usytuowana jest akcja noweli, w pałacu mieściły się, obok Akademii Literatury, magazyny rękopisów Biblioteki Narodowej – miejsca pracy bohaterki a zarazem narratorki. (Obecnie jest to siedziba Uniwersytetu Warszawskiego, miejsce bardziej uroczystych spotkań Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza). Opisane jest także mieszkanie doktora, niezbyt odległe, bo zlokalizowane przy ulicy Hortensji (obecnie Tadeusza Czackiego), urządzone zgodnie z ówczesną modą i stylem.

Realizm opisu Warszawy międzywojennej podyktowany był wymaganiami gatunku, upodobaniem autorki do szczegółu, a także potrzebą zachowania w pamięci „przemijającej postaci świata”.

Nowela jest skonstruowana bardzo finezyjnie, akcja jest interesująca, ma swój punkt kulminacyjny i puentę. Całość podzielona jest na osiem części. Pierwsza – stanowiąca ekspozycję, opowiedziana została w trzeciej osobie przez wszechwiedzącego narratora. W narrację obiektywną, kronikarską wpleciona została refleksja czytelnika gazety, który zwraca uwagę na konwencjonalną poetykę nekrologu obejmującą takie zwroty jak ten, że rozstał się ze światem „po krótkich lecz ciężkich cierpieniach”, że opłakują go żona i córka „pogrążone w głębokim i nieutulonym żalu”. Uwagę czytającego zwraca też taniutki nekrolog petitem „podpisany raczej nieoczekiwanie przez Komitet Organizacyjny Muzeum Słowackiego”. Pojawia się pytanie: „Skąd sławnemu ginekologowi do – za przeproszeniem – poety?” W ten sposób wprowadza autorka realia obyczajowe i językowe. Żona prezentuje chłodną elegancję i ostentacyjną obojętność wobec zbiorów męża, służąca, gadatliwa i plotkarska („paniuchno moja najdroższa”) opowiada ze swadą o szczegółach śmierci doktora: „a jak wychodził z banku rymnął na Wareckiej na chodniku i już go pogotowie stamtąd zabrało”. Kustosz działu druków z Narodowej wie, że: „Ten Matuszewski miał, bestia, szczęśliwą rękę do słowackianów [...] W Bibliotece Łopacińskiego w Lublinie wywęszył arcyciekawe sztambuchy jakowejś Faustyny i rozszerzył genealogię literacką Słowackiego...”

Część druga wprowadza narrację personalną. Osobą opowiadającą jest pracownica z Narodowej wysłana do domu doktora: „Musiałam więc odłożyć urlop i wybrać się na Hortensję, by tam wpisywać tytuły książek na «wodne» linie

długich arkuszy kancelaryjnego papieru do oficjalnego pokwitowania”. Teraz jest dwoje bohaterów: poznająca i poznawany, przy czym „poznająca” pokazana jest tylko w swojej funkcji, a „poznawany” odkrywany jest stopniowo nie tylko jako kolekcjoner słowackianów, ale i jako mężczyzna z romansową przeszłością. Dla tego celu (w części siódmej) zastosowała autorka formę przytoczeń listów pisanych przez doktora i sporządzanego po latach dziennika. Króciutka część ósma stanowi puentę: „Słowacki był pierwszą miłością nieboszczyka – stwierdza doktorka, odzyskując zwalniany pokój”. Czytelnik uśmiecha się, bo tak jak narrator wie, że to nieprawda.

W sumie nowela bardzo udana, napisana z wielkim znawstwem przedmiotu i dobrym smakiem literackim, stylem żartobliwym, z częstymi znamionami ironii. Jan Lechoń 14 lipca 1955 zapisał w *Dzienniku*: „Pani Danilewiczowa gra na tym samym wciąż motywie – bibliotekarz lub bibliofil. Otóż w jej *Pierwszej miłości* jest piękna wariacja tego motywu. Bibliofilstwo – jako sublimacja nieszczęśliwej miłości, Anatol France lubiłby na pewno to opowiadanie”<sup>20</sup>. Z pewnością można tę nowelkę uznać za najlepszy utwór prozatorski Danilewiczowej.

W 1956 roku wydała pisarka swa jedyną powieść pod skromnym tytułem *Dom*. Fabuła jest niska. Akcja rozgrywa się w ciągu roku szkolnego 1924/25 i kończy u progu wakacji. Rzecz dzieje się w Aleksandrowie Pogranicznym w środowisku miejscowej inteligencji. Należą do niej: nauczyciele matematyki, polskiego, łaciny uczący w miejscowym gimnazjum oraz aptekarz, lekarz, rejent. Lud reprezentuje służąca i jej mieszkająca na wsi „kumoterka”, co daje możliwość wprowadzenia gwary i zapoznania czytelnika z mentalnością wieśniaków. Krótki wypad głównego bohatera do Warszawy rozszerza pole widzenia o stolicę i inteligencję reprezentowaną przez prawnika. Wszyscy bohaterowie drugoplanowi to ludzie porządni, przywoici, młodzież ambitna, pragnąca jak najszybciej dorosnąć i usamodzielnić się. Dowartościowana została codzienna praca, zwykle zajęcia wykonywane sumiennie, z poczuciem społecznej służby: rodzina aptekarza nie może zasiąść do wielkanocnego stołu, póki ojciec nie obsłuży klientów. Nauczyciel poświęca swój wolny czas, aby uczniowi objaśnić twierdzenie Pitagorasa. Szacunkiem obdarzane są też domowe zajęcia kobiet, które biorąc na siebie sprawy domu, umożliwiają mężom i dzieciom spokojne zajmowanie się pracą zawodową i nauką. Odradza się mit domu i afirmacja życia codziennego, obecne w polskiej literaturze od Kochanowskiego po Dąbrowską.

Postacie pierwszego planu to bezdzietne małżeństwo – nauczyciel matematyki i działaczka organizacji charytatywnych, kobieta „nowoczesna”, wyżywająca się w pracy społecznej. Mąż pragnąłby domu prawdziwego, tradycyjnego, „ciepłego”, ale żona gardzi mieszczańskim trybem życia i krytykuje obyczaje małego miasteczka.

Dość przypadkowa zamiana mieszkania w kamienicy na domek z ogródkiem zmienia trochę tryb życia. Następnie dochodzi do przyjęcia, początkowo na stancję, a potem na zawsze, chłopca – sieroty, który pozostał bez żadnego oparcia. W kobiecie rodzi się instynkt macierzyński, w domu zapanowuje inna atmosfera, staje się on ciepłym domem rodzinnym, w którym każdy odnajduje swoje naturalne miejsce. Codziennosc użycza spokoju, a kobietę wprowadza nareszcie w rolę żony i matki, opiekunki domowego ogniska, w czym znajduje ona sens życia.

Zarówno kreacje bohaterów jak i banalna akcja, przeprowadzona zresztą bardzo gładko i sprawnie, niczym nie ekscytująca, nie dająca okazji do głębszych i być może „niezdrowych” refleksji, wiążą powieść z tradycją dawno zapomnianych dzieł sprzed co najmniej półwiecza. Autorce nie chodziło o napisanie powieści nowoczesnej, oryginalnej, ale o pretekst do opowiedzenia, jak wyglądało przed wojną życie w polskim miasteczku.

W takiej egzystencji uwydatnia się funkcja zapomnianych już, a kiedyś powszednich czynności, takich jak wstawianie na zimę podwójnych okien i układanie między nimi mchu, zatrudnianie raz do roku krawcowej „na doroczne obszywanie familii”, widok staruszek zdążających o świcie na rotaty, korowody wozów „rozgęganych, rozkwiczanych” zajeżdżających na rynek w dzień targowy i sznur kobiet „z jajkami, osełkami masła w liściach chrzanowych.” Do tego dochodzi wspomnienie zapomnianych, a niegdyś niezbędnych, codziennych przedmiotów. Są to: bawełna do cerowania DMC na kłębki lub na motki, igły angielskie ze złotymi uszkami, wałki z waty do uszczelniania okien, żelazny ruszt do czyszczenia butów przed wejściem, słój z pijawkami, klej – syndetikon, święty obrazek przedstawiający Anioła Stróża przeprowadzającego dziecko przez kładkę, francuski zegar „bulik” w szklanej kuli i zegar „repetier”, w oknach „zazdrostki” ozdobione haftem „richelieu”, owijanie porcelany przed przeprowadzką w stare numery „Robotnika”, osełki masła, jajka „zdające się samą świeżością, z wypukłym żółtkami koloru skórki pomarańczowej”, „jajecznicza z czterech jaj smażona na żelaznej patelni wytartej skórka od słoniny”, jabłka papierówki i kosztele, cukierki „ślazówki” i „wiosenne”, fryzury *à la garconne*, mleczne guziki z pelikanem i firmą Guenter-Wagner, trzymanie pasma wełny na rozstawionych rękach, gdy matka związała ją na kłębek, otomana „sprzet to szacowny, pluszem dywanowym obity z oparciem w trzy «kwatery», z wyjmowanymi «wałkami»”. Moda na imiona Jazdia, Marysia, Zosia, nie: Kasia, Magda, Joasia. I wreszcie przedmiot wymagający nie tylko wymienienia nazwy, ale całego opisu, jak tarcza Achillesa:

Grzybek do cerowania. Drewniany, toczony grzybek, z odkręcaną nóżką, w której wydrążeniu ukrywa się igielnik. Kupuje się go nie wiadomo kiedy, byle gdzie: na targu, od przekupnia domokrażcy, czy też tak właśnie w ciemnym sklepie z galanterią. Przynosi do domu, chowa do pudełka czy szuflady. Mija rok po roku – powierzchnia grzybka pokrywa się draśnięciami igły,



wyciera się drewniana śruba. nóżka zaczyna się obluźowywać, trzeba podłożyć papieraek. ale to nic nie znaczy i mowy nie ma. mowy być nie może o wyrzuceniu inwalidy i kupieniu nowego grzybka. Ten przecież stary, ułożył się do ręki, jest wygodny, własny, współżyje z palcami, staje się najosobistszym towarzyszem<sup>21</sup>.

Przedmioty trwają, powtarzają się gesty i czynności. Aby nabrały sensu, aby odzyskały swą ważność, potrzebne jest uniemożliwienie wykonywania ich albo przez jakiś wstrząs, albo przez długi upływ czasu, zmianę pokoleń, znaczący postęp cywilizacji. Do codzienności wraca się po przeżyciu czegoś niezwykłego, co może być zarówno straszne jak i wspaniałe.

Postaci kreowane przez Danilewiczową mają za sobą przeżycia straszne i wspaniałe, a wszystkie one wiążą się z tym, co dla Polaków stanowiło „sacrum” – z walką o niepodległość. W obraz codzienności wplatają się sceny z przeszłości: „Pan Górski, weteran z polskiego powstania, w granatowym mundurze porucznika stał wyprostowany przed sklepem”. Siostra chłopca, którym się zaopiekowali Żebrowscy, umarła na tyfus w Tule, matka na suchoty. Syn pana Baranowskiego, od którego Żebrowscy wynajęli dom, był w legionach, zginął pod Kostiuchówką, „we wspólnej mogile pochowany”. Główny bohater, nauczyciel Żebrowski, w wojnie 1914 roku „walczył uczciwie i ofiarnie, jak to inteligent, żołnierz-amator potrafi”, po czym jako ochotnik „poszedł na bolszewika”. Brat jego żony, Bronki, zginął wtedy pod Radzyminem, a ona pracowała w szpitalach walcząc z epidemią tyfusu i krwawej dyzenterii, a potem, po wojnie „ugrzeźła w organizacjach opieki nad sierotami i dziećmi nieślubnymi, których, jak to w latach powojennych, nie brakło. Dla niej trwał nadal stan wojenny”.

Przeżyli epifanię i powrócili do codzienności, jedni narzekając, że inaczej sobie wyobrażali tę niepodległość, inni – liczniejsi – z wiarą w przyszłość brali udział w dziele budowy wolnego państwa.

Danilewiczowa umie opisać wszystko – stwierdza Wierzyński – krajobraz, miasteczko, meble, potrawy, kuchnię, wyprawę kajakiem, motyw na ceracie stołowej, umie opisać małomiasteczkowych ludzi, chłopów, Żydów, księży, dzieci, konie i podskubane gęsi. Tak jak u Orzeszkowej, gdy wejdziemy do wnętrza dworu nad Niemnem, czujemy jego obyczajową i historyczną prawdę, podobnie u Danilewiczowej żyje nieprzerwanym życiem prowincja kujawska lat przedwojennych<sup>22</sup>.

Powieść charakteryzuje dokumentalna wierność. Autorka prezentuje czasy, miejsca i środowiska znane z autopsji, jej opisy mają walor reportażu. Bohaterowie żyją swymi sprawami zawodowymi i domowymi. Nie ma tu problematyki osobowości występującej w prozie międzywojennej, ani zafascynowania bądź rozczarowania ideami opanowującymi ówczesną Europę. Z żadną z postaci czytelnik się nie identyfikuje, żadna nie pobudza wyobraźni współczesnego odbiorcy. Danilewiczowa napisała powieść obyczajową wyrażającą tradycyjne poglądy na

rodzinę, małżeństwo, dom, służbę ojczyźnie – „czytało” dla emigrantów spragnionych lektury w polskim języku, ale napisała świetnie, ponieważ dysponowała prawdziwym talentem narracyjnym, poczuciem humoru i bogactwem języka. Trzeba też mieć na względzie czas powstania tej książki i zapotrzebowanie czytelnika, którego bibliotekarka dobrze znała i rozumiała jak nikt inny. Wypowiadając się na temat wydawania książek dla emigrantów, mówiła: „należałoby sięgnąć po książki komunikatywne, pisane dobrą polszczyzną [...]. Moje doświadczenia z Biblioteki londyńskiej wykazują, że w ciężkich kryzysowych latach książki dobre, ale łatwiejsze do strawienia od arcydzieł, spełniają rolę terapii zajęciowej i wydawanie ich ma sens”<sup>23</sup>. Z takim przeświadczeniem nie mogła zabierać się do pisania „antypowieści”. Doświadczenie bibliotekarki podcinało jej skrzydła. Sięgnęła do swych wspomnień i napisała powieść przeznaczoną dla czytelników, których dobrze znała.

Wspomniano już, że ówczesna proza wspomnieniowa odpowiadała zapotrzebowaniu na powracanie pamięcią do młodych lat spędzonych w niepodległej Polsce, w czasach trudnych, ale dających przekonanie o potrzebie i skuteczności odbudowywania normalnego „domu” po latach niewoli i wojen. Tytuł powieści ma znaczenie dosłowne i symboliczne, można powiedzieć trojaki. Jest to „dom” rozumiany zwyczajnie jako osobny nieduży budynek w ogrodzie zamieszkały przez rodzinę. O takim domu marzyli ci, którzy wracali ze wschodu, z wygnania, do wolnej Polski. PrzYGarnięty sierota wspomina, jak w Rosji jego rodzice powtarzali: „Wrócimy z tej przeklętej Rosji do siebie, kupimy mały domek z ogródkiem, będziemy mieli psa”. Taki dom wynajmuje nauczyciel mając nadzieję, że będzie mu tam lepiej niż w mieszkaniu w kamienicy. Pragnienie takiego domu jest wartością niezmienną. Drugie znaczenie odchodzi od sensu materialnego i oznacza poczucie bliskości, więzi rodzinnej, bezpieczeństwa – zawsze to słowo ma konotacje pozytywne. I wreszcie, można przypuszczać, że „dom” oznacza ojczyznę. Ten dom we wszystkich sensach został przez emigrantów utracony i nic da się w pełni zrekonstruować. „Emigranci nie mają domu, choćby mieszkali w luksusowych willach z pięknym ogrodem i luksusowym samochodem w garażu. Nie mają domu, bo jego fundamenty nie mają pod sobą ojczyźnej ziemi” – z właściwą mu przenikliwością pisał Józef Łobodowski<sup>24</sup>. Danilewiczowa włącza się swą powieścią w ciąg pisarzy odtwarzających „kraj lat dziecińczych”. Jej powieść tchnie optymizmem i działa kojąco na czytelnika.

Lata, gdy autorka *Pierwszej miłości* pisała opowiadania oparte na wspomnieniach z jej życia i gdy pracowała nad swą powieścią, były w kraju okresem ekspansji ideologii komunistycznej: podważania wartości rodziny i zastępowania jej idealizacją kolektywu, odchodzenia od idei domu zarówno w sensie materialnym jak i mitycznym, odrywania od tradycji i lansowania „postępu”, propagowania

walki klas jako motoru dziejów i podstawy nowego porządku społecznego. Takie ideały lansowała nowa literatura socrealistyczna, publicystyka, szkoła i wszystkie instytucje społeczno-wychowawcze. Emigracja polska śledziła to i analizowała, co widać np. w esejach Tymona Terleckiego, zamieszczonych w tomie *Emigracja naszego czasu*<sup>25</sup>. Powieść *Dom* nie jest więc tylko „staroświecka”, gdy pochwała model rodziny, blisko ze sobą związanej i nastawionej na wychowanie młodego pokolenia, lecz występuje w obronie tradycyjnych wartości, kwestionowanych, podważanych, niszczonej w Polsce Ludowej, wartości rodzinnych, społecznych i patriotycznych. Bohaterowie Danielewiczowej mają poczucie godności związane z ich pracą i miejscem, nie muszą krzyknąć: „Człowiek to brzmi dumnie!”, inteligencja nie potrzebuje przyjmować epitetu „pracująca”, by usprawiedliwić białość rąk, robotnicy i chłopci mają swoje poczucie wartości i nie muszą przybierać pozy klasy „przodującej”, wiejskie kobiety „na służbie” w mieście nie czują się upokorzone swoją pozycją w domu „państwa”, a solidarność społeczna wynika z prawdziwych potrzeb i przybiera formę autentycznej, skutecznej pomocy, czasem bardzo daleko posuniętej, ale odległej od biurokratycznej instytucjonalizacji i politycznych haseł. Takie jest życie prawdziwe, a jeśli kogoś losy rzuca na bezdroża, to na ogół wraca na utarty trakt i w tradycyjnym bytowaniu odnajduje satysfakcję i szacunek otoczenia.

Znamienne dla miłośniczki i znawczyni literatury jest to, że wprowadza do powieści bardzo liczne cytaty i aluzje do różnych utworów. W opisy krajobrazów i obyczajów wprowadzone są strofy kujawiaków i innych piosenek ludowych. W narracji trzeciosobowej lub w mowie pozornie zależnej występują aluzje i cytaty, np. „«Siedzę, bom przywyknął» – dowodził ongiś ptaszek z bajki Krasickiego. To nie była klatka. To było własne mieszkanie z takim trudem zdobyte” (s. 15). Pani Bronisława, wspominająca rannych żołnierzy w zakopiańskim sanatorium, wzdycha: „Iluż powędrowało na zakopiański cmentarz. Strug dobrze to opisał”. Łacinnik, miłośnik poezji Horacego i matematyk gimnazjalny pływając razem po rzece, odświeżają swą znajomość greki, czytając fragmenty prehomeryckiego hymnu do Hermesa, przy czym jeden z nich stwierdza: „Tak więc, sami widzicie, kolego, sprawa jest trudniejsza kierować tratwą niż wbijać trygonometrię, czy nawet Korneliusza Neposa we łby uczniowskie. Choć kujawskie, nie żmudzkie. Ale tak samo twarde” (s. 95). Wiele jest rozmów nauczycieli o literaturze polskiej. Polonista Zbróżyńska ceni wysoko Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego i „z pewnym zastrzeżeniem – Żeromskiego”, a Żebrowski, spokrewniony przez matkę z Sienkiewiczem, jest wielkim miłośnikiem *Trylogii*, *Krzyżaków* i *Quo vadis*. „Że Stanisław Brzozowski nie uznawał *Polanieckich*? Też argument! Branie pars pro toto?” Akcja rozgrywa się w roku 1924, co jest sposobnością do wprowadzenia gorącej dyskusji wywołanej wieściami o prawdopodobnym przyznaniu Reymon-

towi Nagrody Nobla, co kuzyn Sienkiewicza uważa za deprecjację nagrody. Wizyta głównego bohatera w Warszawie u kuzyna Donimirskiego jest okazją do opowiedzenia o uroczystościach pogrzebowych Sienkiewicza w Vevey, gdzie był Donimirski: "Ta trumna to symbol (mówi). Żegnali Sienkiewicza. A właściwie żegnali koniec epoki. Koniec wielkiej literatury, która była siłą konstruktywną, podporą, pokrzepieniem serc, jak on sam to nazywał, która pozwoliła przetrwać" (s. 150). Teraz „Żeromski napisał *Przedwiośnie* i na larum bije”.

Nawet służące znają nazwiska wielkich pisarzy. Jedna czytała nawet *Dzieje grzechu* i uważa, że „nie takie to świństwo, jak mówią [...] prawdziwe życie tam opisane i zło nie pochwalone” (s.177).

Ten wątek powieści przysparza przyjemności jej czytelnikom. Zakładając niewielką przesadę, *Dom* można by uznać za studium recepcji literatury pięknej na Kujawach w pierwszych latach niepodległości.

Można wprawdzie dziś przyznać rację Marii Dernałowicz, gdy zarzuca autorce *Domu* „brak odwagi w kreowaniu przedstawionego świata”<sup>26</sup>. *Dom* przypomina raczej XIX-wieczne powieści dla ludu niż ambitną prozę połowy XX stulecia, jest na pewno powieścią dobrze napisaną (*roman bien fait*), można zarzucić autorce tradycjonalizm i sentymentalizm, ale warto zrozumieć ich przyczyny.

Edward Balcerzan wprowadza termin „ojczyzna wielokrotna”, uważając, że jest on dla Polaków bardziej przydatny niż „mała ojczyzna” – istotnie, w XX wieku wielu rodaków zmuszonych było do parokrotnego zakorzeniania się w coraz to innej glebie. Jedni znosili to lepiej, inni gorzej. Dla Danilewicz Zielińskiej była to Polska, Anglia i Portugalia, i tak się złożyło, że w każdym z tych krajów przeżyła po trzydzieści lat. Na obcą ziemię ciągnęła zawsze za sobą swój „podróżny kufer”, a w nim polskie książki, które trzeba było dla rodaków gromadzić, udostępniać i opisywać. Można powiedzieć, że przez całe życie pracowała dla biblioteki narodowej i jej czytelników. Znajomość języków, dobre wykształcenie – to były materialne podstawy jej działalności, ale najważniejsze były osobiste cechy: pracowitość, ambicja, optymizm i wytrwałość. To sprawiło, że można ją uznać za (jak uczynił to Wierzyński) „konserwatorkę przeszłości”.

## Przypisy

<sup>1</sup> M. Danilewicz Zielińska, *Fado o moim życiu: rozmowy z Włodzimierzem Paźniewskim*, Toruń 2000, s. 18.

<sup>2</sup> *Op. cit.*, s. 23.

<sup>3</sup> *Op. cit.*, s. 19.

<sup>4</sup> *Op. cit.*, s. 20.

<sup>5</sup> Cyt. za: Czesław Kłak, wstęp do: *Maria Danilewiczowa – Stanisław Pigoń. Dialog korespondencyjny* [1959–1968], Rzeszów 1996, s. 40–41.

<sup>6</sup> *Vita mutatur non tollitur* – biogram wystawy poświęconej Marii Danilewicz Zielińskiej, KUL 2003.

<sup>7</sup> *Listy Kazimierza Wierzyńskiego i Marii Danilewicz z lat 1941–1969*, ogłosił P. Kądziała, „Więź” marzec 1993.

<sup>8</sup> *Dialog korespondencyjny....* list do Cz. Kłaka z 22 stycznia 1995.

<sup>9</sup> M. Danilewicz Zielińska, *Mickiewicziana i Album Moszyńskiego*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza”, rok XXIV (1989), Warszawa 1990 s. 65–76.

<sup>10</sup> *Dialog korespondencyjny....*, s. 73–74.

<sup>11</sup> *Op.cit.*, s. 85.

<sup>12</sup> *Op.cit.*, s. 89.

<sup>13</sup> H. Elzenberg, *Kłopot z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu*, lipiec 1925, s. 172.

<sup>14</sup> M. Danilewicz Zielińska, *Fado....*, s. 21.

<sup>15</sup> M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978, Instytut Literacki, s. 290.

<sup>16</sup> *Op.cit.*, s. 291.

<sup>17</sup> „Wiadomości” 1955, nr 4.

<sup>18</sup> *Listy Kazimierza Wierzyńskiego.... op.cit.*

<sup>19</sup> „Wiadomości” 1954, nr 27.

<sup>20</sup> J. Lechoń, *Dziennik*, red. M. Falk, wstęp R. Loth, Warszawa 1993, t. 3, s. 661.

<sup>21</sup> M. Danilewicz Zielińska, *Dom*, Londyn 1956, s. 122.

<sup>22</sup> K. Wierzyński, *Szkice i portrety literackie*, red. P. Kądziała, Kraków 1990, s. 205. Jest to przedruk za: *Cygańskim wozem*, Londyn 1966.

<sup>23</sup> *Pasją życia – książka. Z Marią Danilewicz Zielińską rozmawia Paweł Kądziała*, „Więź” 1988, nr 11–12.

<sup>24</sup> Por. I. Szypowska, *Łobodowski. Od „Atamana Łobody” do „Seniora Lobo”*, Warszawa 2001, s. 127.

<sup>25</sup> T. Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, oprac N. Taylor-Terlecki i J. Świąch, Lublin 2003.

<sup>26</sup> M. Dernałowicz, *Przywołanie źle obecnej*, „Więź” 1993, nr 3.